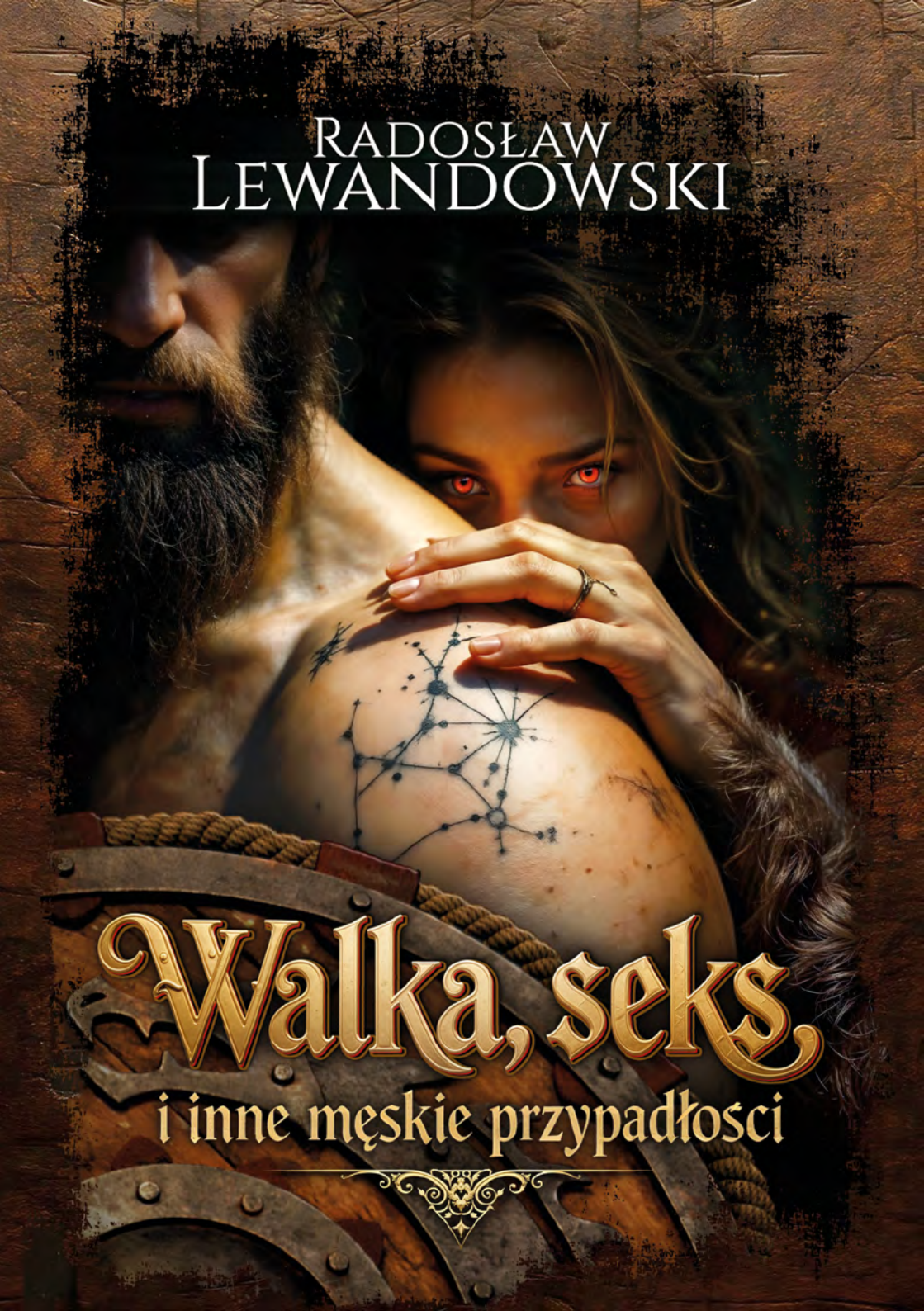




RADOSŁAW
LEWANDOWSKI

Walka, seks, i inne męskie przypadłości

RADOSŁAW
LEWANDOWSKI

Walka, seks

i inne męskie przypadłości

PIEŚŃ KSIĘŻYCA

Drzewiej

Koń biegł resztkami sił. Piana odrywała się od jego pyska dużymi płatami, a w świszczącym oddechu pojawiły się nowe rżące nuty.

– Spokojnie, przyjacielu, już niedługo. – Mężczyzna poklepał zwierzę po zroszonym potem karku. Głownia miecza boleśnie uciskała mu żebra, ale nie zważał na takie niedogodności. Bogowie, bał się jak jeszcze nigdy w swoim długim życiu.

Z masakry w żlebie przy Białej Skale uszedł z życiem tylko dlatego, że na rozkaz Orma przepatrywał drogę do Otternes, osady, która była celem ich podróży. Gdy wrócił z wieściami, zamiast roześmianych i gotujących się do dalszej drogi druhów zastał parujące trupy. Zbrojni, mężowie w sile wieku i w pełnym bojowym rynsztunku, leżeli na obozowej polanie porozrywani na strzępy. Ktoś, coś żywiło się nawet...

Mężczyzna na to wspomnienie spiął rumaka kolanami, ale ten nie miał już więcej sił. Po kilku kolejnych krokach zwierzę stanęło pod drzewem ze zwieszonym pyskiem.

– No, malutki, jeszcze trochę i będziemy wśród ludzi, bezpieczni – obiecywał, ale równie dobrze mógłby próbować wzbic się w powietrze, machając rękami. Zeskoczył, odczepił sakwę od siodła i śpiesznie ruszył dalej. – Może kupisz mi, przyjacielu, kilka chwil – sapnął, próbując grzbietem dłoni zetrzeć z brody kryształki lodu, w które zamieniał się zbyt szybki oddech. – Bogowie, osądźcie mnie łaskawie, nie jestem tchórzem. W niejednym rajdzie na wiking brałem udział, ale to...

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy zobaczył lichą, przyproszoną śniegiem palisadę Otternes. Nadzieja wreszcie wlała się w serce mężczyzny. Osada leżąca między Aurland a Flåm nie była duża – liczyła ledwie dwadzieścia hówów*, ale mieszkali tam dobrzy wojowie, których nieżyjący już Orm planował namówić na wspólny rajd wzdłuż wybrzeży Morza Wewnętrznego.

– Bogom niech będą dzie... – Nie dokończył myśli, gdy las za jego plecami wybuchł niepohamowaną wściekłością. Wróg poruszał się tak szybko, że zdawał się wojowi bardziej rozmażanym cieniem niż żywą istotą. – Odyne – zdołał wysapać i ścisnął w dłoni solidny skramsaks. Wiszący u pasa miecz na nic się zda w walce piersią w pierś. – Toż to sam Fen... – Reszta słowa przeszła w mokry gulgot, a cztery długie pazury rozcięły szyję nieszczęśnika, jakby to był jeno

* Hov/höv – dom.

zab sera. Żył jeszcze, gdy bestia wgryzła się w ranę i gwałtownym szarpnięciem urwała mu tchawicę wraz z kawałkiem kręgosłupa.

Po okolicy przetoczyło się zwycięskie wycie, a kundle w Otternes zamilkły, zbyt teraz przerażone, by czekać.



Nieliczny, dostatnio prezentujący się orszak zatrzymał konie przed österport, wschodnią bramą warownej osady Stafangr. Jak nad każdą z trzech pozostałych, tak i nad tą wisiał ogromny, wyrzeźbiony w dębinie wilczy pysk, odwieczny symbol władców tych terenów. Przybysze mieli przed sobą wysoką na trzech mężczyzn, solidną palisadę, u której stóp ciągnęła się szeroka, zamarznięta teraz fosa. Wnosząc z koloru, za czasu swojej świetności zamieniała się nie tyle w ciek wodny, co w grzęzawisko.

Zbliżał się wieczór, toteż wszystkie bramy już zamknięto, a drewniane pomosty podniesiono, by wzmacniały i tak potężne wrota. Panowały niespokojne czasy.

– Kto idzie? – Pełniący straż żołnierz wychylił się znad osłony u korony palisady na tyle, by lepiej widzieć intruzów, nie dość jednak, by dać się ustrzelić jakiemuś silnorękiemu łucznikowi.

– Obwieść panu, że przybył Asgot z Czerwoną Tarczą, adalman północnej Szwecji i trzeci pretendent do pasa konunga* swego kraju!

* Konung – król.

– Czego tu chcesz? Mam rozkaz samego Hakona Benlosa, stormana tych ziem i truchtina Norwegów, by nie wypuszczać nikogo po ciemnicy.

– Sprawa do hovdinga*, a nie do ciebie, synu Thralla, gównojadzie, którego matka wysrała niechcący do dołu z gnojówką, a ojciec, zobaczywszy syna, urznął sobie jaja, ty ośliniony wałachu, psie skundlony, mężo- i świniobie, ty...!

– Panie! – Stary, ale jeszcze krzepki woj przysunął się do rozsierzonego dowódcy. Dawniej pływał na wiking z ojcem Asgota, a teraz służył radą jego synowi. – Chcemy wejść czy będziemy się bić?

Wściekły, czerwony na gębie Szwed splunął zapalczywie.

– Może jedno i drugie, Wingorze – warknął. – Niech mu wsadzony dupą miecz wybije wszystkie zęby, może jedno i drugie...

Spokojne, niemal ojcowskie spojrzenie Wingora przyniosło opamiętanie.

– Zawiadam swego pana – ciągnął adalman z wymuszonym spokojem – kto zacz, byle szybko, bo niedługo Skoll przegna słońce z nieboskłonu. Jeśli ciemności zastaną mnie pod bramą... – Splunął kolejny raz pod nogi wierzchowca i zdawało się, że znowu rozpuści wściekły język.

Cisza się przedłużała, a wraz z nią narastało napięcie. Nagle przybysz skinął głową jak człowiek, który podjął decyzję, że pójdzie na wschód, a nie na zachód, i rzekł:

* Hovding/hövding – wódz.

– Zabiję cię.

Słowa zostały wypowiedziane tak spokojnie, jakby mówiący rozprawiał o prószącym cicho śniegu, i może właśnie dlatego nie zdały się tylko czczą gadaniną.

Głowa strażnika zniknęła na chwilę z widoku i przyjezdni usłyszeli, jak mówi coś do jednego z towarzyszących mu zbrojnych, a ten po chwili, postępując, schodzi na dół i oddala się śpiesznym krokiem w kierunku zabudowań.

Nie minęło wiele czasu, gdy do uszu stojących pod bramą wojów, niby pierdy z tyłka biedaka, który z głodu zezarł kiszzonego śledzia wraz z wnętrznościami, doleciały burkliwe przekleństwa i groźby ciskane w nieszczęsnego strażnika. Wszystko ucichło, gdy Hakon Benlos wystawił siwy łeb ponad palisadę i spojrzał z góry na gości. A widok miał niecodzienny, bo u stóp częstokołu stał jego zacięty i nieprzejednany wróg, szwedzki storman i drugi co do potęgi wódz w kraju Swjonów. Uśmiech rozjaśnił oblicze staroego wodza, uśmiech, który bardzo przypominał radość na pysku wilka, gdy ten widzi lochę ze złamaną nogą.

– Powinienem poczęstować cię strzałą, Asgocie, ale przybywasz w pokoju, a bogom niemiłe jest uchybianie gościnności. Co innego twoi ludzie, ich wyrznię i rzucę świniom na pożarcie. Co ty na to?

– Zgoda, ale wtedy to, z czym przychodzę, rozwieje się niczym mgła na wietrze. Poza tym stracisz swoich najlepszych wojów w walce z moimi drengami, z których każdy wart jest twoich trzech, a może i czterech. – Szwedzki wiking położył dłoń na rękojeści miecza i tak na wszelki wypadek

poluzował ostrze w pochwie. Potem, jakby z ociąganiem i tęsknotą za czymś, co umyka, a było już na wyciągnięcie ręki, rzekł: – Ale ten wybór nie do mnie należy.

– Ha. – Gospodarz z zadowolenia klepnął się głośno po udach. – Takeś szalony, jak o tobie powiadają. Nie zabiję was, klnę się na pierścień, ale za wały możesz wejść tylko ty.

– Jakem rzekł, to twój wybór, Hakonie, i może dzięki tej roztropności ocalisz skórę, ale muszę zabrać ze sobą Oddiego, mego syna, a towarzyszom daj jakiś dach nad głową, choćby w którejś z chłopskich chat. – Asgot wskazał na grupę zabudowań, rozrzuconych w nieładzie w pobliżu grodu. Dochodziło właśnie stamtąd wściekle ujadanie kundli, któremu towarzyszyły stukoty zamykanych i ryglowanych drzwi i okien.

– Grozisz mi? – Z głosu Benlosa zniknęła niedawna wesołość.

– Na cycyki lodowej dziwki, Hakonie, mam już dość stania tu z zadartym łbem. Odłóżmy właśnie na bok, bo wieści, które przynoszę, są ogromnej wagi.

Przez kilkanaście uderzeń serca nic się nie działo i gdyby nie nerwowe ruchy czujących stajnię koni, można by pomyśleć, że bogowie rzucili na okolicę zaklęcie bezruchu.

– Wejdź, a wieśniacy zajmą się twoimi drottmadami.

Na te słowa świat ożył, a pomost z donośnym skrzypieniem naprężonych lin zaczął opadać, by w końcu z głuchym stukotem uderzyć w belki podpory. Odgłos ten przywodził na myśl uderzenie topora o katowski pień. Droga do Stafangr stała otworem, choć Asgot nie mógł się oprzeć wrażeniu, że

widzi przed sobą rozwartą paszczę Fenrira^{*}, jednego z potwornych dzieci Lokiego i olbrzymki ludożerczyni Angerboddy.

Wzruszył ramionami, pochylił głowę niczym atakujący byk i skinąwszy na syna, skierował konia ku wejściu. Po chwili kopyta dwóch rumaków zadudniły na grubych belkach pomostu.



Gród Stafangr nie wyróżniał się niczym spośród innych warownych siedzib. Wzniesiono go na motte, płaskowyżu górującym nad najbliższą okolicą, wśród popiołów starszej i mniejszej osady mieszkalnej. W centralnej części postawiono wysoką wieżę, otoczoną dodatkowym wałem, z której obserwatorzy dzień i noc przepatrywali teren. W odległości dwóch strzałów z łuku okolicę wykarczowano i wykorzystywano jako setery – górskie pastwiska – ale dalej ciągnął się las.

W razie wdarcia się wroga za palisadę to właśnie wieża była bastionem obrońców, w którym mogli długo czekać na nadejście posiłków. Ta ostatnia funkcja wymusiła na budowniczych pewne zmiany konstrukcyjne: by oparła się płomieniom, do wysokości trzech dorosłych mężów jej ściany zbudowano z kamienia.

* Fenrir – wilk, syn boga Lokiego i ludożerczej olbrzymki Angerboddy. Przeciwwstawił się bogom i ci spętali go niemal niezniszczalnymi okowami (atłasową smyczą Gleipnirem).

Gdy Asgot z Czerwoną Tarczą wraz z Oddim minęli potężne wały, na spotkanie wyszedł im gospodarz w asyście trzech osiłków wyglądających na tęgich rębajłów.

– Bądź moim gościem, Asgotcie, choć wiedz, że nie ufam Swjonom niemal tak samo jak Danom. Ale żeby nie uchybić gościnności, zapraszam na wieczerzę. Z pełnym żołądkiem i przy miodzie opowiesz, co cię sprowadza.

Wskazał długi budynek po prawej stronie od bramy i, jak nakazywał obyczaj, sam ruszył przodem, wystawiając gołe plecy na ewentualne razy.

– Zadbaj o moich, jak żeś obiecał, człowieku – burknął mu w kark przybysz.

Norweg machnął ręką w stronę stojącego najbliżej woja i ten pobiegł w kierunku wrót twierdzy.

– U mężczyzny są tylko jeden język i jedno słowo, czy u Szwedów jest inaczej? – rzucił zaczepnie, ale przybysz tym razem pohamował ogień wściekłości.

Stary lis z tego Hakona – pomyślał lekko rozbawiony. *Jeśli sam złamię mir, nie ujdziemy z życiem z gościny i to on będzie w prawie.*

Dalej szli w milczeniu i po kilkudziesięciu długich krokach dotarli do dostatniego hovu. Nie umknęło uwadze Asgota, iż na pomoście opasującym położoną centralnie wieżę stało dwóch łuczników gotowych do strzału. Pokiwał głową z uznaniem na widok ostrożności gospodarza. Wszelako stare porzekadło mówiło: „wpuszczając wilka do owczarni, miej pod ręką tęgie psy”. Szwed pogładził się odruchowo po misternie splecionej brodzie i oddawszy wodze stojącemu przy wejściu wojowi, przekroczył próg domostwa.

Uwagę idącego w ślad za nim Oddiego zwróciło coś innego. Oto w półcieniu domu sąsiadującego z dworem Hakona stała młoda, smukła kobieta. Nie byłoby w tym nic dziwnego, bo przybysze zawsze wzbudzali ciekawość mieszkańców, ale na jej widok konie, rżąc trwożnie, zaczęły strzyc uszami i stawać dęba.

– Noo, siwa, spokojnie, spokojnie... – Chłopak przyciągnął łeb spłoszonego zwierzęcia do ziemi i z dużym wysiłkiem opanował wyrywającą się klacz. Potem znowu spojrzał na niewiastę.

Stała nieruchomo, naga, jeśli nie liczyć pomiętej i głęboko rozciętej pod szyją płóciennej koszuli, która więcej odsłaniała, niż zakrywała. Spomiędzy jej pełnych, rubinowych warg wystawał koniuszek wilgotnego języka. Gibka i silna, przywodziła Oddiemu na myśl łowiące smaki nocy dzikie zwierzę. Teraz on sam poczuł gęsty, piżmowy zapach kobiety i, ku jego zdziwieniu, przez członki przepłynęła mu fala pożądania, jakiej jeszcze nigdy, nigdzie...

Koń znów szarpnął łbem i by utrzymać go w ryzach, młody Szwed chwycił mocniej rzemienie, na chwilę zapominając o pięknej nieznajomej. Gdy okiełznał zwierzę, po tajemniczej kobiecie nie pozostał żaden ślad. Oddi potrząsnął głową, ale nagła, bolesna erekcja dowodziła, że to wszystko nie było jedynie wytworem młodzieńczej wyobraźni. Chociaż nie takie sny bogowie zsyłają młodym zuchom. Przez głowę przemknęła mu gorąca myśl, by puścić rzemienie i ruszyć na poszukiwanie nieznajomej, ale w tej chwili zaniepokojony hałasami gospodarz wystawił głowę na zewnątrz.

– Nie w smak wam, panie, moja gościna? – mruknął kpiąco w stronę starszego z przybyszów.

Weszli do sieni i jakby znaleźli się w innym świecie. Na pierwszy rzut oka był to zwykły dwór zamożnego człowieka, ani lepszy, ani gorszy od innych mu podobnych, składający się z jednej głównej izby i dwóch mniejszych przeznaczonych dla zwierząt i na tkalnię. Pod ścianami stały ławy wyściełane futrami, środek natomiast zajmowały długi dębowy stół i ogromne palenisko. Nie wszystko jednak było takie zwyczajne. Pod północną ścianą zbudowano niewielkie podwyższenie, na którym otoczony słupami stał drewniany tron. I jeżeli w ogóle cokolwiek wyróżniało to domostwo, to właśnie owe słupy ozdobione misternymi rzeźbami, które miały chronić mieszkańców i zapewniać im szczęście oraz przychyłność bogów. Nieznany artysta – dawno temu, bo drewno pociemniało od dymów niezliczonych ognisk – nie tyle przyozdobił słupy wizerunkami bogów, co nadał im boskie kształty.

Gdy trzymana przez idącego przodem niewolnika lampa rozgarnęła ciemności niby ręka suchy piasek, pokazało się to, co dotąd skrywał najgłębszy cień.

Ze ściany czerwonymi ślepiami spoglądał na wchodzących sam Fenrir.

Adalman przyłożył zwiniętą pięść do piersi, w ślad za nim poszedł młody Oddi. W dziewięciu światach nie było groźniejszej i bezwzględniejszej istoty niż ten wilczy potomek Lokiego. Fenrira bali się nawet bogowie i by go spętać, sporządzili niezniszczalny łańcuch, który jednak nie zdołał utrzymać bestii w ryzach. Udało się to dopiero krasnoludom, a to za sprawą uplecionego przez nich sznura,

atłasowej smyczy zwanej Gleipnirem^{*}, którą wykonano z odgłosu skradającego się kota, włosów z dziewiczej brody, korzeni gór, rybiego pęcherza i ścięgien niedźwiedzia. Było jednak przepowiedziane, że nadejdzie czas, gdy Fenrir rozzerwie również te więzy. W czas Ragnaröku^{**} potwór miał pożreć samego ojca bogów – Odyna.

Przybysze klęczeli z głowami spuszczoneymi na piersi, prosząc boskich Asów o ochronę. Trwało to chwilę i gdy podnieśli wzrok, napotkali uśmiechnięte spojrzenie gospodarza.

– Mój dziad Harald Pięknowłosa zlecił wyrzeźbienie tych słupów tronowych i symbolu naszego rodu trackiemu niewolnikowi o imieniu Pistos. Na widok ukończonego dzieła wpadł w taki zachwyt, że dał temu potomkowi Thralla wolność i tyle złota, ile ten ważył. Następnego dnia na szczęście mu przeszło. – Norweg błysnął zębami. – Powodowany oszczędnością i roztropnością skrócił Pistosa o głowę. Ale nie o rzeźbach będziemy rozmawiali! Posilcie się przy moim stole.

Na te słowa niewolnicy zaczęli wносить deski z mięsiwem, wędzonymi rybami, ciepłym gulaszem i serami. Wnet podano dzbany z piwem i miodem. Zwyczaj zakazywał poruszać przy posiłku drażliwe tematy, chyba że gość pierwszy

* Gleipnir – sznur wykonany z głosu skradającego się kota, włosów z kobiecej brody, korzeni gór, mięśni niedźwiedzi, rybiego oddechu i ptasiej śliny. Z niego wykonano więzy dla Fenrira i był on trwalszy od najmocniejszego żelaza.

** Ragnarök (Zmierzch Bogów) – ostatnia bitwa stoczona pomiędzy bogami, ludźmi i elfami a gigantami i ich sprzymierzeńcami.

zacznie rozmowę. Hakon Benlos był niemłodym już wozdrem, u którego wraz z siwizną włosów przyszły mądrość i rozwaga. Wiedział, że trunek i pełen żołądek ułatwiają, a czasem wręcz umożliwiają trudne rozmowy, więc czekał cierpliwie, aż przybysze nasycą swoje niemałe apetyty.

Przeciągte beknięcia obwieściły właściwy moment, a wiatry puszczane donośnie przez Oddiego przywołały na twarz gospodarza uśmiech zadowolenia.

– Dziękuję ci, konungu, za strawę i gościnę. Oby twój okręt zawsze łapał w żagiel pomyślne wiatry – wypowiedział zwyczajową formułkę Asgot.

Hakon nieznacznie skłonił głowę. Nadszedł czas na poważne tematy i rozmowę, która była celem tego poselstwa. Zanim jednak do niej doszło, młody Oddi zadał pytanie nurtujące go niemalże od przekroczenia bramy osady:

– Panie, gdy tu wchodziliśmy, widziałem wysoką młodkę o włosach białych niby mleko. Zapadła mi ona w pamięć i wgryzła się w myśli niczym ogień w nagą skórę... Któż to?

Gospodarz się uśmiechnął, ale czujny obserwator zobaczyłby na jego twarzy szybki jak drgnienie powieki grymas zwykłego ludzkiego strachu.

– To Kadlin, moja szalona córka. – Westchnął głęboko, przytłoczony jakimś ciężarem. – W każdym pokoleniu jedno z dzieci mego rodu dotknięte jest tym przekleństwem. Za dnia moja Kad jest jak każda dziewczka, ale nocą bierzemy ją na srebrny łańcuch. Mówię ci to, młody Oddi, by wszystko między nami było jasne, bo nie uszło mojej uwagi, że zrobiła na tobie wrażenie. I to jeszcze powiem, że klątwa przechodzi na tego, który przyłoży rękę do śmierci

takiego nieszczęśnika. Mój pradziad próbował, więc wiem, co gadam. Ale – klasnął w dłonie dla odpędzenia słów, które zawisły niczym ciemność nad dogasającą pochodnią – do rzeczy. Co was sprowadza w moje progi? Czas podróżom niesprzyjający, bo zima hula i, jak mi donoszą, bandy Dunów grasują po okolicy.

– Dzień drogi stąd – zaczął Asgot – natknęliśmy się na setkę, może więcej tych synów trolla i wściekłej suki, ale nie o tym chcę z tobą mówić, konungu. Kuzyn mój Eryk Zwycięski, władca wszystkich Szwedów, głos i oddech bogów na tej Ziemi, przysłał mnie do ciebie z poselstwem. Wiem, że często my, Swjonowie, i wy, Norwegowie, byliśmy wrogami. Niejeden raz wzajemnie przelewaliśmy krew, walcząc o ziemię i łupy. Tak było, ale nie musi być dalej. Mój władca dostrzega rosnącą duńską potęgę i chciałby zawrzeć z norweskimi klanami rozejm. Więcej! Jeśli jesteście gotowi, ruszy wraz z wami na Duńczyków.

Zapadła cisza. Władca Stafangr i terenów leżących o wiele dni drogi od grodu w zamyśleniu podniósł do ust róg z piwem.

– Ile okrętów może wystawić twój pan i co ja z tego będę miał? – rzucił od niechcenia, jakby mówił, że ocieliła mu się wczoraj krowa albo że woły srają w tym roku więcej niż w ubiegłym.

– Siedemdziesiąt langskipów z pięćdziesięcioma ludźmi każdy i dwa tysiące zaprawionej w bojach piechoty – odpowiedział Szwed niemal natychmiast. – Jeśli ty, konungu, wystawisz drugie tyle, na wiosnę ruszymy na Dunów i zdobędziemy ich miasta i kobiety. Gdy będzie po wszystkim,

tron Danii przypadnie Erykowi, a tobie, Hakonie, sześć z dziesięciu części łupów z wyprawy. Nie tylko to mam ci do zaoferowania. Eryk Zwycięski obiecuje również swoją pomoc w zjednoczeniu całej Norwegii pod twoim wilczym sztandarem.

Na te wieści władca Stafangr wstał i wyszedł na zewnątrz, by, jak zdawkowo rzucił, opróżnić pęcherz. Cisza się przeciągała. Asgot z pozorną obojętnością na brodatym obliczu małymi łydkami popijał miód w oczekiwaniu na decyzję gospodarza. Przywieziona przez niego oferta była korzystna dla obydwu stron, o ile Duńczycy nie ubiegli Szwedów, składając im już wcześniej podobną propozycję. Banda tych gównojadów, na którą natknęli się po drodze, zdawała się przeczyć takiemu rozwiązaniu, ale kto wie...

– Ojczy, on nas lekceważy. Do tego jego wilczy ród jest przeklęty przez bogów, czego nawet przed nami nie kryje. Nie ufam mu. Pluńmy w twarz temu Norwegowi i sami idźmy na Dunów. Gdy już zarżniemy ich konunga, przyjdzie czas i na...

– Zamilcz! – Adalman patrzył w kierunku syna, jakby zobaczył rozdeptanego ślimaka skalnego. – Czasem bardzo przypominasz brata swojej matki. Zbyt dumnyś i głupi, by być ostrożnym wtedy, gdy jest na to czas.

Zapanowała pełna napięcia cisza. Po chwili jednak Asgot uspokoił się i położył młodzieńcowi dłoń na ramieniu.

– Wodę masz jeszcze w głowie, synu, wodę, która przelewa się tam i nazad, a jej chlupotem są twoje nierozważne słowa. Jeśli ściśniesz ją w garści, przecieknie ci między palcami. I tak samo jest z pomysłami, które mi tu poddajesz.

Trzeba lat, by płyn ten zamienił się w twardy lód. Wziąłem cię ze sobą nie po to, by brać rady takiego gołowąsa. Słuchaj i się ucz, ale gębę otwieraj tylko wtedy, gdy tego od ciebie zażądam. Niepotrzebny nam teraz wróg wśród Norwęgów, i do tego tak potężny jak storman Hakon Benlos. Nadto jesteśmy zdani na jego łaskę i niełaskę, co chyba uszło twojej uwagi. Korzystamy z odwiecznego prawa gościny, ale i te stare zasady są po to, by je łamać, o ile narazimy się gospodarzowi. Wierz mi, synu, na wszystko przyjdzie czas. Na skarby konunga Norwęgów też.

Rozmowę przerwał powrót gospodarza. Siwowłosy storman zasiadł przy ogniu płonącym wesoło na środku izby i zatarł ścierpnięte z zimna dłonie.

– Przemyślałem twoją propozycję, adalmanie, następco szwedzkiego tronu i... – Sapnął, głaszcząc odruchowo upierścienioną brodę.

W przedłużającej się ciszy słychać było trzask płonących polan.

– I co?! – Młody woj nie wytrzymał.

Hakon jakby nie słyszał tego krzyku. Spojrzał w oczy Asgotowi i spokojnym głosem dokończył:

– I mówię: nie.

Ojcu nie drgnął nawet jeden mięsień na twarzy, ale młodzieńcowi nie wystarczyło cierpliwości. Głosem, który wyrażał całą jego niechęć i pogardę, zaczął:

– Zapłacisz za swoją beczelność! Jeśli bogowie nie położą kresu twemu żalostnemu życiu, to ja sam zatknę kiedyś twoją głowę na włóczni. Może i wiąże nas mir gościnności, ale sam Odyn krzywo patrzy...

Asgot wychylił się nieznacznie i trzasnął młodzika pięścią w twarz.

Cios był mocny i głowa Oddiego odskoczyła do tyłu. Z rozciętej wargi na deski podłogi zaczęła kapać ciemnoczerwona krew, a on sam zerwał się na równe nogi i ze łzami wściekłości w oczach opuścił domostwo.

– Wybacz, konungu, zachowanie mojego syna było niegodne gościa. Jutro, jeśli pozwolisz nam przenocować, ruszymy w drogę powrotną.

Hakon ze zrozumieniem pokiwał głową i wylał resztki miodu z rogu wprost na strzelające wysoko płomienie ogniska. Mgielka pary rozproszyła się po izbie, pozostawiając po sobie słodki zapach.

– Młody jest, to i wiatr mu w głowie hula. Adalmanie, nie żywię urazy, chociaż mógłbym, co sam przyznasz. W dowód tego mam dla ciebie ofertę. Co byś powiedział, gdybym pomógł ci zabić brata?



Oddi kręcił się tego wieczora po Stafangr niby rozwścieczona dzika pszczoła po pustym dzbanie. Ojciec miał go za nic, Benlos i jego ludzie śmiali mu się w twarz. Gdyby posiadał siłę i sposobność, posłałby do krainy umarłych, w szpony na wpół martwej Hel, wszystkich Norwegów, a już na pewno gospodarza tego miejsca i jego synów. Córki zaś gwałciłby tak długo, aż pękłyby im krocza, a potem oddałby swoim ludziom do zabawy. Pokazałby ojcu, co jest wart, i ten byłby z niego dumny.

Nadejdzie jeszcze, ojczy, mój czas! Lód, o którym mówiłeś, jest dla starców. Dla młodych ogień, który zamienia wodę w dym, a wrogów w proch.

Rozmyślenia o zemście przerwał natarczywy, dziwnie znajomy piżmowy zapach. Młody Szwed otrząsnął się i spostrzegł, że stoi nieopodal chaty, w której widział mlecznowłosą kobietę. Pamiętał, co mu o niej opowiadał konung. Ba, wryło mu się w pamięć każde jego słowo. Ale psubrat uczynił to pewnie dlatego, by młody przybysz nie kosztował miodu z ula jego córki. Oddi uśmiechnął się pod nosem, był teraz gotów nie tylko zasmakować tej słodyczy, ale i na złość rodzicielowi zbrzuchacić niewiastę, o ile byłaby chętna, a może i bez tego.

Zapał wieczór, ale księżyc nie wspiął się jeszcze na nieboskłon i mrok panujący w osadzie rozświetlały tylko nieliczne pochodnie. W ich migotliwym blasku Oddi spostrzegł nagle, że w cieniu otwartych drzwi stoi ONA.

Znienacka znowu poczuł pożądanie, które mąciło myśli niczym bagienny gaz. Przełknął ślinę, gdy zobaczył, że tym razem dziewczę jest zupełnie nagie, jeśli nie liczyć solidnej srebrnej obręczy na pięknej długiej szyi.

– Ozdoba drogocenna, ale niewygodna, równie dobrze ojciec mógłby ci zawiesić na szyi srebrne kowadło. Trupi wszarz – wyszeptał.

Na wspomnienie starego Hakona bezwiednie zacisnął pięści. Jednak w obliczu niewieściego powabu złość ta zbliżała tak szybko, jak topi się lód w marcowym słońcu.

Niewiasta opierała się wdzięcznie o futrynę i czekała z lekko pochyloną głową, a sięgające pasa jasne włosy falowały,

gdy płytkimi oddechami wciągała chłodne nocne powietrze. Rozszerzone pożądaniem młode oczy spostrzegły to, co chciały zobaczyć. Długie i mocne nogi kończyły się wzgórkami przypominającym gęsty, splątany bór. Wyżej sterczały zadziwiająco małe, ale jędrne piersi, zwieńczone dużymi brązowymi oczkami. Powołane do istnienia migotliwym blaskiem pochodni cienie grały na ciele Kadlin, bo tak nazwała ją jej ojciec. Młodzieńcowi wydawało się, że wzrok płata mu figle. Tych piersi było więcej niż dwie! Nie, to na pewno złudzenie. Duże ciemne brodawki sterczały napęczniałe niczym świeże żółędzie i Oddi, jak ślepiec poszukujący drogi, sięgnął dłonią w ich kierunku. Nie zdążył, bo kobieta, śmiejąc się wdzięcznie, ukryła swe nagie ciało w ciemnym jak smoła wnętrzu domostwa.

– Nie, bogowie, nie teraz... – Jęk wydobywający się z gardła młodego Asgotssona był niczym płacz śmiertelnie spragnionego wędrowca, który uрониł na spękaną od słońca ziemię ostatnie krople wody. Wbrew buńczucznym zapowiedziom nie chciał brać jej siłą, i to w domu jej ojca! Równie dobrze mógłby rzucić się z wysokiego fiordu wprost na ostre zęby skał z nadzieją, że przeżyje niczym pikujący jastrząb.

Nagle z mroku wychynęła smukła, kształtna ręka i kiwnęła na niego tak, jak kiwa się na wiernego psa, by podbiegł i usiadł u stóp właściciela. Nie trzeba było więcej. Oddi wkroczył w ciemność.

Aldsvider, rumak ciągnący księżyc po nieboskłonie, zaczął swą wędrówkę, ale dla chłopaka świat skurczył się teraz do tej jednej chwili, do kilku następnych oddechów. Wszedł

do pomieszczenia i zdarł z siebie ubranie, jak gdyby skórzanę pętelkę, w których zakotwiczone były drewniane kołeczki, zrobiono z piany, a nie z mocnego rzemienia. Jego męskość nabrzmiała tak, że czuł boleśnie przyjemne pulsowanie krwi, rozpierającej od środka twardego jak dębowy kołek członka.

Było ciemno niczym na dnie Helheimu, ale kierowany męskim zmysłem znalazł kobietę niemal natychmiast i przywarł wargami do jej warg, smakując ich gorzko-słodki korzenny aromat i napawając się czymś, czego nawet nie umiał i nie próbował nazwać, co wyzwoliło w nim pierwotne instynkty.

Ten zapach, jej zapach jest taki, taki... – myśli młodego Szweda się rwały. Zresztą... Jakie to miało znaczenie? Przyparł dziewczynę do filara i wbił kolano między jej uda, potem dołączył drugie i mocno napierał, aż przemógł ich opór.

– Jesteś silna, bardzo silna... – wysapał.

Zaskomlała w odpowiedzi i polizała go po twarzy wilgotnym językiem. Coś się zmieniło w jej zapachu, jakby do gotującego się napoju z jabłek ktoś wrzucił garść zamorskich goździków.

Wszedł w nią z drżącym pomrukiem, na który odpowiedziała zawodzącym jękiem.

– Może jesteś szalona, ale ciało masz niczym córka samej Gefny – wyszeptał w ucho kobiety. – I chyba to nie jest twój dziewiczy bieg...

Czuł, jak oblewa go jej wilgoć. W głowie zakiełkowało młodemu mężowi zdziwienie, zaraz jednak odepchnięte w ciemność spostrzeżeniem, że musiała pożądać go równie mocno, a może i bardziej. Palce Oddiego bezwiednie zsunęły

się po srebrnej obręczy opasującej szyję dziewczyny i powędrowały dalej i dalej po grubych ogniach łańcucha wiodącego w niezgłębioną ciemność, ale zamroczony umysł czuł tylko mocne, krótkie pchnięcia.

Kadlin Hakondottir zaczęła dygotać, co przyprawiło chłopaka o upragniony spazm rozkoszy... z przeciągłym jękiem uwolnił gorące, życiowe soki. To był ten moment, ten jeden moment w życiu mężczyzny, nie licząc walki, gdy zapytany, czy woli skończyć to, co zaczął, i umrzeć, czy przerwać i odejść żywy, bez wahania wybierze śmierć.

Odetchnął chrapliwie, ale ona nie odpuszczała. Drżała dalej tak, że poczuł, jak pożądanie znów mąci mu umysł.

– Sprzedające swoje ciała leśne kobiety mogłyby się od ciebie uczyć – jęknął, a potem już tylko mruczał rytmicznie. Drugi wytrysk przyszedł szybciej niż pierwszy i Oddi znów odetchnął chrapliwie, ale jej wciąż było mało.

Gotując się do trzeciego natarcia, poczuł, że pod skórą Hakonowej córki grają nie tyle gibkie, co całkiem krzepkie mięśnie. Zdyszany chłonał ustami ostry pot spływający po szyi dziewczyny. Gdy jednak próbował przenieść się niżej i chwycić zębami jej brodawkę, zmarszczył brwi, czując, że nie może się ruszyć. Tkwił w obręczach objęć kochanki niby w stalowych kajdanach i jedyne, co się teraz poruszało, to jej tłoczące go niestrudzenie podbrzusze.

Zbliżał się trzeci wytrysk, gdy Oddi zakrztusił się nagle i z przerażeniem zauważył, że ma usta pełne splątanych kłaków. Próbował je wypluć, ale było ich zbyt wiele. Stały się też sztywniejsze, grubsze i – jak uświadomił sobie nagle z dreszczem – porastały nie tylko głowę Hakonowej córki.

Krzyk przerażenia i bólu rozdarł ciemność nocy w osadzie Stafangr.

W plecy Oddiego wbiły się pazury ostre niby sztylety i jęły zapamiętałe orać jego spływającą potem skórę. Ból przeszywał go na wskroś, jakby ktoś ostrym żelazem wyrzywał mężczyźnie orła na grzbiecie. A potem jeszcze odginał zakrwawione żebra...

Wtem mrok pomieszczenia przeniknęły blaski pochodni. Przez krwawą mgłę cierpienia Oddi spojrzał w rozświetlone płomieniem zielone ślepie kochanki i z wrzaskiem zapadł w ciemność.

Asgot z nagim ostrzem w dłoni i przerażeniem w oczach patrzył, jak jego jedyny syn tonie w objęciach potwora z najgorszych koszmarów. Miał oto przed sobą na wpół niewiastę, na wpół wilka. Śnieżnobiała sierść, pod którą grały węzłaste mięśnie, pokrywała całe ciało bestii, a potężne zębiska błyskały tuż przy szyi młodzieńca.

Stary Hakon krzyknął coś, ale szwedzki adalman nie słuchał. Niewiele myśląc, wbił sztych miecza pomiędzy dwa rzędy piersi stwora. Monstrum w paroksyzmie bólu odrzuciło od siebie młodzieńca, jakby to było wilcze szczenię, a nie kawał chłopca, i z warkotem rozdzierającym uszy skoczyło na napastnika. Brzęknął przytwierdzony do obręczy łańcuch i potwór padł z łomotem na klepisko. Asgot ryknął, wziął zamach i ciał przez gruzłowato umięśniony kark z całą siłą ohydy, przerażenia i zemsty.

Żelazo dwa razy ucałowało powietrze i makabryczny łeb potoczył się w ciemność, a groteskowe ciało upadło w kałużę krwi. Po krótkiej, strasznej chwili bezruchu na oczach

obecnych rozpoczęła się jeszcze straszniejsza, konwulsyjna metamorfoza, u której kresu zebrani patrzyli na gibką, zakrwawioną teraz sylwetkę bezgłowej kobiety.

– Hamramir*, zmiennokształtna... – Szept doświadczonego wojownika był ledwo słyszalny.

Oddi podniósł się z jękiem i zakrztusił na widok trupa. Cała dzisiejsza wieczerza wypłynęła z niego wielobarwną strugą. Po chwili obaj przenieśli osłupiały wzrok na starego Hakona. W jego spojrzeniu były żal, ból i... ulga.

– Ostrzegałem cię, młodzieńcze – rzekł ochryplym głosem. – Ostrzegałem...

Oddi splunął żółcią i wybąkał coś niewyraźnie, trzęsąc się niby osika. Czuł, jak po nogach ścieka mu wilgoć Kadlin zmieszana z jego własnym moczem.

Asgot z Czerwoną Tarczą widział już w życiu niejedno.

– Spokojnie, synu. Żyjesz i niech bogom będą dzięki. – Zwrócił głowę w kierunku starca. – Jeśli wszystko, co mówiłeś wcześniej, było prawdą, a wygląda, że tak – wskazał czubkiem miecza na zezwłok u swych stóp – czekają mnie wielkie zmiany, do których muszę się przygotować, zresztą nie tylko ja jeden. Zgadzam się na twoją wcześniejszą propozycję. Zawrzemy pakt na pierścień i choć wiem, że będę kiedyś tego gorzko żałował, stanę do boju przeciwko mojemu kuzynowi Erykowi. A teraz chodźmy do ciepłej izby. Musimy omówić nie tylko czekającą nas na wiosnę kampanię.

* Hamramirowie – ludzie zmiennokształtni, mogą przyjmować postać wilka lub niedźwiedzia.

Pomogę ci, ale w zamian zdradzisz sekrety wilczego rodu i nauczysz mnie żyć z piętnem zmiennokształtnego.

Benlos pokiwał głową.

– Idźcie – wychrypiał. – Idźcie, niedługo do was dołączę.

Asgot okrył rozdygotanego syna własnym wełnianym płaszczem i powiódł w milczeniu w kierunku dworu. Stary konung dłuższą chwilę stał nad bezgłowym ciałem, a potem poszedł głębiej w ciemność i schyliwszy się, podniósł głowę swojej najmłodszej córki.

– Moje dziecko – szeptał, patrząc w wywrócone źrenice Kadlin. – Czyż nie kochamy najbardziej tego potomstwa, które napęlnia nas dumą przez swą wyjątkowość i siłę, ale i tego, które przysparza nam najwięcej trosk? Niosłaś ze sobą i jedno, i drugie... Wiedziałem, że to ty wytraciłaś odział Orma przy Białej Skale. Wybacz sędziwemu człowiekowi, że nie potrafił dać ci spokojnego i dostatniego życia u boku prawego męża... To bogowie, a nie ludzie pokierowali twoim losem. Nie ludzie...

Gdzieś daleko, od strony lasu, dobiegło do uszu stormana pojedyncze jęgliwe wilcze wycie. Po chwili przyłączyły się do niego kolejne i przez kilkadziesiąt uderzeń serca świat rozbrzmiewał lamentem watahy.